

W trzech obozach

Joanna Fryczkowska. Urodzona w 1927 roku w Dęblinie. Przed wojną rodzice wraz z nią i młodszym o cztery lata bratem przeprowadzili się do Warszawy, gdzie ojciec pracował w Państwowych Zakładach Lotniczych na Okęciu. Po zakończeniu kampanii wrześniowej udało mu się dostać do Anglii, wojnę spędził tam jak mechanik samolotów.

Fryczkowska w okupowanej Warszawie uczyła się na tajnych kompletach. Zaczęła też działać w podziemnym harcerstwie. Wiosną 1943 roku zaprzysiężona została jako żołnierz AK. W powstaniu warszawskim była łączniczką. Do niewoli trafiła w połowie sierpnia 1944 roku.

Mnie i inne schwyte dziewczęta poprowadzono do Pruszkowa. Pogonili tam tłumy warszawiaków. W Pruszkowie odbyła się selekcja, pociągi już czekały. Zapakowano nas do towarowego wagonu i wywieziono w nieznaną.

Trafiłam do Ravensbrück. Już samo przyjęcie było paskudne, odebrali nam wszystko, zaprowadzili do łaźni i nadawali numer. Od tej pory nie byliśmy ludźmi tylko numerami. A pasiak, bielizna obozowa, chodaki, stały się naszymi ubraniami.

Wciąż przychodziły transporty z Warszawy, co powodowało, że baraki były straszliwie zatłoczone. W każdym znajdowały się trzypiętrowe prycze, na pryczy spały po dwie osoby. Nad barakiem nadzór sprawowała blokowa, którą do tego obozu przywieziono w 1938 roku. Podobno była żoną bankiera z Wiednia.

Baraki składały się z dwóch części, którymi z kolei kierowały podlegające blokowej, sztabowe.

O czwartej rano nad całym obozem rozlegał się ryk syreny-pobudka. Zaraz potem apel. Stałyśmy na nim po pięć w rzędzie, tak łatwiej było nas liczyć. Jeśli któraś była słaba, to się ją wynosiło, stawiało pod ścianą, bo stan osobowy musiał się zgadzać, musiałyśmy tam być wszystkie i nieważne o własnych siłach, czy wyniesione. Potem przychodziły Niemki, nadzorki oraz komendant obozu. Od blokowej odbierał raport-stan tyle i tyle. To często trwało po dwie, trzy godziny. Stałyśmy w naszych obozowych pasiakach, w chodakach na gołych nogach. Najgorzej było zimą. W barakach, czy w pracy owijało się nogi gazetami lub szmatami. To było zabronione, więc gdy wychodziłyśmy na apel, trzeba było te szmaty i gazety dobrze złożyć i wsunąć pod stopy w drewniakach. O ile w ogóle ktoś coś takiego miał. Bo zdobycie choćby kawałka szmaty nie było proste.

Od chwili przyjazdu do obozu interesowały się nami harcerki z Radomia, które dostały się tam wcześniej za działalność w ruchu oporu. Wiedziały, że przychodzą transporty z powstania warszawskiego i wśród nowych więźniarek szukały harcerek, które w tym powstaniu uczestniczyły.

Na początek udzielały nam rad w jaki sposób postępować żeby przeżyć. Przeżyć z dnia na dzień dodam, bo dalszych planów nie robiłyśmy. Rady brzmiały: postępować tak, by nie zwracać na siebie uwagi. W praktyce oznaczało to, by szybko wykonywać wszystkie polecenia, nie podpaść, stać się jak najmniej widoczną.

Po kilku dniach jedna z tych radomianek przyniosła mi gazetę, którą nosiłam pod pasiakem. Inna dała mojej koleżance cieniutki sweterek. Jakaś więźniarka musiała go zdjąć przed wejściem pod prysznic. Inna z radomianek pracowała w kuchni. Kiedyś przyniosła nam cebulę. W obozie panował straszny szkorbut, powiedziała żebyśmy sobie ją pokroiły i zjadły. Były nas cztery koleżanki z powstania, trzymałyśmy się razem. Więc pokroiłyśmy cebulę na cztery plasterki i każda swój zjadła.

Sztubowa wyznaczyła mnie do przynoszenia ziemniaków z kuchni. Ziemniaki były w wielkich kubłach z pokrywą. Nosiło je kilkanaście dziewczyn. Na zmianę, po dwie. Zawsze wtedy towarzyszyła nam ss-manka z pejczem. Ponieważ kubły były ciężkie, mogłyśmy co jakiś czas stanąć i zmienić rękę, zamieniając się miejscami. Kiedyś, właśnie w tym momencie uchyliłam pokrywkę kubła i wyjęłam dwa ziemniaki. Schowałam je do kieszeni pasiaka. Myślałam, że Niemka nie patrzy i tego nie zauważy. Zauważyła. Poczułam na plecach potężne uderzenie. Dosłownie jakby ktoś raził mnie prądem, ból przeszył całe ciało.

Na tym się jednak nie skończyło, od tej miała mnie na oku. Po południu wychodziłyśmy pracować poza teren obozu, prowadziły nas Niemki z psami. Musiałyśmy łopatą wykrawać darń w półmetrowe kwadraty. Inne więźniarki brały to na taczkę i gdzieś wywoziły. Dokąd, w jakim celu była ta praca, do dziś nie wiem.

W tamten dzień ta ss-manka stała cały czas nade mną. Co chwila mnie kopała lub popychała i ciągle wrzeszczała. Do obozu wróciłam załamana, po raz pierwszy uważałam, że tego nie przeżyję. Stałam przy oknie i zaczęłam przeraźliwie płakać.

W obozie panowała ogromna, szczególnie biorąc pod uwagę warunki, solidarność. Starsze więźniarki cały czas się nami opiekowały, jak mogły pomagały. Przy tym traktowały nas dosłownie jak córki. Wtedy gdy tak płakałam po pracy, podeszła Czeszka, dużo starsza ode mnie, mogłaby być moją matką. Przytuliła mnie i dużo mówiła po: czesku, polsku, rosyjsku, niemiecku. Szeptala mi, że widziała jak Niemka się nade mną pastwi. Jestem krótko w obozie, muszę się z tym pogodzić, że jeszcze nieraz mnie coś takiego spotka, ale muszę być twarda, bo inaczej tego nie przeżyję, więc nie mogę się poddawać.

Nie wiem jakby się to znęcanie nade mną skończyło. Lecz znów poddano nas selekcji, wybrano młode, w miarę jeszcze silne dziewczyny i w połowie października wywieziono do obozu koncentracyjnego w Salzgitter. Też byłam w tej grupie.

Salzgitter to obóz pracy, składający się z dwóch części: dla mężczyzn i kobiet. W pobliżu znajdowały się fabryki, w których wszyscy pracowaliśmy. Sam obóz usytuowany był za miastem, do fabryki prowadzono nas około dwóch kilometrów. Codziennie, gdy szłyśmy do pracy lub z niej wracałyśmy, miałyśmy miejscowych Niemców. Nie było dnia, by nas nie wyzywali od najgorszych, opluwali, obrzucali błotem i kamieniami. Zwłaszcza dzieci, one rzucały najwięcej.

Więźniowie zajmowali się przetapianiem rudy. Kobiety skierowano do fabryki zbrojeniowej. Pracowałam tam na tokarce obrotowej. Dostawałam jeden po drugim pociski w kształcie cygara. Trzeba je było wcisnąć w specjalny bęben, w nim unieruchomić. Następnie pociągnąć drugi bęben, z czterema wiertłami, którymi skręcałam pociski.

Nad nami był robotnik, też więzień, wywieziony tam na roboty przymusowe. Nim kierował Niemiec-majster, z kolei nad majstrami stali wojskowi. Były tam też ss-manki, które niemal bezustannie chodziły między nami. Gdy się coś popsuło to wołałyśmy majstra, była to jedyna sytuacja gdy mogłyśmy się w pracy odezwać, bo rozmawiać nie było wolno.

W fabryce pracowałyśmy na trzy zmiany po osiem godzin dziennie, potem jeszcze po trzy-cztery godziny na terenie obozu. Wykonywałyśmy wtedy głównie prace porządkowe.

Jeśli nie byłyśmy w pracy, obowiązywały nas poranne apele. W obozie było dużo Greczynek oraz Włosek i niemal codziennie dowożono nowe. One najgorzej znosiły klimat. Umierały bardzo szybko, na każdym apelu, widziałam w ich grupach nowe twarze. Najlepiej warunki znosiły Rosjanki i one były kierowane do najcięższych prac. Lecz i tak umierały szybko. Katorżnicza praca do tego głodowe wyżywienie, przeciętna długość życia więźnia w obozie wynosiła około pół roku.

Nastał początek kwietnia 1945 roku.

Zapakowano nas razem z mężczyznami do wagonów kolejowych. Nas więźniarek było około 600, cały transport liczył około czterech tysięcy osób. Nie wiedzieliśmy dokąd nas wiozą. Po kilkunastu godzinach stanęliśmy na stacji kolejowej w Celle. Krótco potem rozpoczęło się alianckie bombardowanie. Otwarto drzwi wagonów i wszyscy zaczęliśmy uciekać. Niektórzy przez willową część miasteczka, chroniąc się w przydomowych ogródkach. Inni, w tym ja, biegli w stronę pobliskiego lasu. A dokoła nas wybuchały bomby. To było prawdziwe piekło-potworny hałas wybuchających pocisków, wstrząsy, części ciał: głowy, ręce, nogi, fruujące w powietrzu. Nasze przerażenie dodatkowo powiększała świadomość, że na sąsiednim torze stał pociąg z amunicją.

Lecz najbardziej w pamięci utkwiał mi fanatyzm ss-manów. Jeden z nich uciekał wśród nas i na pewno był tak samo jak my przerażony. Mimo to biegnąc, bez opamiętania strzelał więźniom w plecy, by jak najwięcej z nich zabić. Spełniał zbrodnicze rozkazy do końca.

Co chyba jeszcze bardziej niewiarygodne, równie sfanatyzowani byli okoliczni mieszkańcy. Po bombardowaniu zaczęło się wyłapywanie jeńców, w czym bardzo pomagała właśnie miejscowa ludność. Nie było tam nikogo, absolutnie nikogo, kto przejawiłby najzwyczajniejsze ludzkie uczucie-współczucie. Kogoś kto dałby nam szansę na przeżycie. Przeciwnie, z widłami, siekierami ganiłi po okolicy, zaciekle wyłapując więźniów i wskazując ich ss-manom i miejscowym żandarmom. Nawet świadomość, że wojna już dobiega końca i lada dzień dotrą tam alianci, niczego nie zmieniły.

Najwięcej więźniów z rozbitego transportu zgromadziło się w lesie. I stamtąd prowadzono nas pieszo-do Bergen-Belsen. Szliśmy bocznymi drogami. Był wyjątkowo ciepły, wręcz upalny kwiecień, a my nie dostawaliśmy nic do picia. Gdy ktoś nie miał siły iść, Niemcy brali go do tyłu, oczekali aż reszta będzie z przodu, tak byśmy nic nie widzieli. A potem do naszych uszu dobiegał strzał. Ten marsz śmierci trwał dwie doby. Do obozu z całego transportu doszło nas 800 osób.

Tu już nie było apeli, prawie nikt z nas, nie ustał by na nogach. Większość czasu spędzałyśmy zamknięte w barakach. Nie było pryczy, tylko klepisko, siedziałyśmy na nim z podkurczonymi nogami. Położyć się nie dało, panowała za duża ciasnota. Do jedzenia dostawaliśmy raz dziennie menażkę z wodą, w której pływały kawałki brukwi. Zaraz po przybyciu, jedna sztabowa kazała wyjść najmłodszym więźniarkom. Też byłam w tej grupie. Jeszcze miałam siłę, by chodzić. Powiedziała, że będziemy codziennie rano wynosić ze swoich baraków trupy. Rozbierało się je z pasiaków, te miały być dla innych więźniarek. Później nagie ciała wynosiłyśmy na plac przez barakiem i tam je układałyśmy jedno na drugie. Nikt ich nie wywoził. W efekcie ciała utworzyły koszmarnie wyglądający, gnijący stos. W tym czasie wszyscy ss-mani i ss-manki uciekli. Zostali tylko wartownicy.

Po kilku dniach już nie mogłam wynosić ciał, nie miałam siły, nawet nie byłam w stanie wstać. Zachorowałam na tyfus, nie wiedziałam co się wokół mnie dzieje. Leżałam w baraku, powoli umierając.

Na chwilę jeszcze odzyskałam świadomość. Koleżanka zaczęła szarpać mnie za ramię, wołając, że do obozu weszli Anglicy. Pamiętam to, lecz nie zareagowałam, nie byłam w stanie, po chwili straciłam przytomność. A ona wciąż mnie szarpała, wrzeszcząc, że mam wstawać, że nie wolno mi się poddać, mam walczyć, teraz kiedy doczekaliśmy końca.

Wkrótce pojawili się noszowi, zanieśli mnie do izby chorych. Dopiero tam się ocknęłam po kilku dniach.

Obok mnie na pryczy leżała dziewczyna, też łączniczka z powstania oraz jakaś inna więźniarka. Nagle zauważyłam, że jest bardzo zimna, sztywna, nie porusza się, nie odpowiada-zmarła.